

## ROZDZIAŁ 1

Wyskoczyła z wanny w ułamku sekundy.

– Jasny szlag!

Przecież mokrym palcem nie odbierze połączenia na ekranie dotykowym. Wytarła szybko dłonie pierwszym lepszym ciuchem, rzuconym na pralkę. Jeszcze kilka razy odetchnęła i odebrała po czwartym dzwonku, cud ekwilibrystyki. Serce na chwilę zamarło w oczekiwaniu na głos po drugiej stronie.

– Słucham. – Mimo wszystko zabrzmiało dość spokojnie.

– Z tej strony Barbara Zawada z Proffice Design. Czy rozmawiam z panią Anną Baran?

– Tak, przy telefonie.

– Miło mi panią poinformować, że przeszła pani ostatni etap rekrutacji. Chcemy zatrudnić panią na stanowisku asystentki w dziale projektów.

– Bardzo dziękuję za informację.

– Czy mogłaby pani przyjechać do nas w czwartek, czyli szesnastego maja, na dziewięć? Załatwilibyśmy wszystkie formalności.

– Tak oczywiście, będę.

– Zatem do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Upewniła się jeszcze, że nacisnęła na ekranie czerwony guzik i wtedy dopiero wrzasnęła na całe gardło: „Tak, taaak, taaaaak!!!!”. Stała przy pralce w kałuży wody spływającej z włosów, bo po drodze z wanny nie zdążyła nawet wziąć ręcznika. Zdjęła go z wieszaka, szybko wytarła się i owinęła

pachnącą bawełną. Tętno wciąż było dalekie od normy. Oszałałe z radości serce tłukło się chaotycznie. Anka była w domu sama. Specjalnie wzięła dwa dni urlopu i czekała na telefon. Stała tak przez chwilę, trzymając w drżącej dłoni smartfona. Przycisnęła go do siebie i rozplakała się, nie z radości, tylko z ulgi.

\* \* \*

Trzasnęły drzwi od samochodu. Patrzyła, jak Tomek wsiada do pordzewiałego, granatowego passata. Od razu usłyszała klekot uruchomionego silnika. To już? Całe życie w kilku kartonach? Gdyby paliła, to byłby dobry moment, żeby puścić dymka dla uczczenia wyprowadzki z domu. Spojrzała jeszcze raz w okna bloku przy Sadowej i wsiadła. Tomek zawiezie ją do mieszkania w Rzeszowie. Jakimś cudem znalazła małą kawalerkę w okolicy biurowca Proffice Design. Niedaleko od mieszkania miała przystanek autobusowy. W ładną pogodę mogła dotrzeć do pracy spacerkiem w dwadzieścia minut.

Nie mogła uwierzyć w to, co się wydarzyło, jeszcze nie. Poczucie spokoju dopiero wtedy, gdy zamknie za sobą drzwi mieszkania. Nie będzie awantur pijanego ojca i pokornego milczenia matki. Te klucze od wynajętej kawalerki, które trzymała teraz w torebce, warte były każdej zarwanej na naukę nocy, każdej złotówki odłożonej z fanatyczną wręcz skrupulatnością. Wszystko po to, by móc teraz jechać do pustego domu.

Słabo znała Tomka. Do tej pory widziała go raptem parę razy. Kilka tygodni wcześniej Ewa zaczęła się z nim spotykać. To właśnie przyjaciółka poprosiła Tomka o pomoc przy przeprowadzce Anki. Zgodził się od razu, choć musiał zamienić się z kolegą na dyżury w karetce. Szatyn ze spokojnymi brązowymi oczami – mógłby spokojnie uchodzić za zaginionego brata Ewy, tak bardzo byli do siebie podobni. Może po prostu do siebie pasowali?

Anka całą drogę milczała. Zamknęła oczy. Mogła sprawiać wrażenie, że głęboko zasnęła, ale gdy tylko zatrzymał się samochód, natychmiast

się ocknęła. Z uśmiechem na twarzy niemalże biegła z ciężkim kartonem po schodach, jakby za drzwiami czekał co najmniej książę z bajki. Nikt nie mógł wiedzieć, że jako mała dziewczynka nie marzyła o niczym innym, jak tylko o ciszy. Kilkukrotnie pokonywali z Tomkiem trasę od samochodu do mieszkania na drugim piętrze, by przenieść cały jej dobytek. Zaproponowała chłopakowi kawę, ale wyszedł szybko, jakby wyczuł, że chce zostać sama.

Bardzo starannie zamknęła za nim drzwi na klucz. Usiadła na podłodze. Tsunami ulgi przetoczyło się przez dziewczynę i gdzieś musiało znaleźć ujście. Nawet nie tłumiała gwałtownego szlochu. Kiedy ostatnio tak płakała? Chyba jeszcze jako dziecko. W głowie kołatała jej tylko jedna myśl: „Jestem sama”. Cisza przyjemnie dzwoniła w uszach. Razem ze łzami powoli schodziło napięcie ostatnich tygodni.

W kącie przy drzwiach wciąż piętrzyły się kartony z całym jej dobytkiem. Trochę powierciła się w wysłużonym fotelu, by ułożyć nogi jak najwygodniej. Ten mebel był chyba ulubionym sprzętem wszystkich dotychczasowych mieszkańców, bo wyglądał na najbardziej zniszczony. Odstraszała wyświechtana, brązowa tapicerka w kwiatki, ale najwyraźniej jego wygoda była odwrotnie proporcjonalna do estetyki. Oparła się o drewniany podłokietnik fotela. Kubek z herbatą jeszcze trochę parzył, ale przytuliła go mocno. Siorbnęła „Malinową rozkosz”. Nagle znieruchomiała, jakby nasłuchując. Po chwili roześmiała się. Nikt nie warknął na nią, że ma się zamknąć. Nikt nie spiorunował jej wzrokiem, jak to było w domu. Bardzo nieelegancko wypila herbatę do dna, z uśmiechem na twarzy.

Miała teraz wystarczająco dużo czasu, by obejrzeć z uwagą swoje skromne włości. W całym bloku wstawiono nowe okna, ale tutaj najwyraźniej czas zatrzymał się gdzieś w latach dziewięćdziesiątych. Nikomu nie zależało na remoncie. Tylko ściany wyglądały tak, jakby ktoś nie tak dawno je pomalował. Przyszarzałe, żakardowe franki aż się prosiły o wybielacz, ewentualnie o ostatnią podróż do kosza na śmieci. Brązowa meblościanka, wielka, bordowa kanapa, mała ława i ten wysłużony fotel stanowiły całe wyposażenie pseudo-saloniku. Z tyłu, po lewej stronie, chowała się mikroskopijna kuchenka.

Anka z zadowoleniem odstawiła kubek na stolik przy kanapie. Teraz, gdy skończyła siorbać herbatę, nic nie zakłócało już ciszy. Najwyraźniej nigdzie obok nie mieszkały ani małe dzieci, ani hałaśliwi studenci.

Zsunęła się z fotela i z drzeniem podeszła do kartonów. Każdy pieczołowicie opisała. Ten najważniejszy, podpisany: „Książki” stał tuż przy drzwiach, nawet nie musiała go szukać. Wyjmowała każdą pojedynczo. Andrzej Ziemiański, „Achaja”, tom trzeci. Zajrzała do środka. Na tytułowej stronie, w prawym, dolnym rogu, dopisała datę 14.05.2019 r. Tego dnia zadzwoniła pani Barbara z informacją, że Anka dostała nową pracę. Te daty miały znaczenie tylko dla niej. W tym roku postanowiła nagradzać się za każdy sukces nową książką. Tom drugi był opatrzony datą 19.03.2019 r. Wtedy zdała egzamin licencjacki z francuskiego. Na tytułowej stronie pierwszej części „Acha” dopisała 08.02.2019 r., kiedy to dostała do ręki prawo jazdy, o czym nawet nie powiedziała ojcu. Nie było jej stać na kupowanie nowych powieści, dlatego robiła to tylko przy wielkich okazjach. Czule pogłaskała kolorową okładkę. Zebrała całą serię i ułożyła w meblościance. Tak żałośnie wyglądały na prawie pustej półce, że przyciągnęła bliżej cały karton i szybko powykladała resztę. Kilka słowników, parę lektur – nagród za świadectwo z paskiem – nie zasługiwało na miano biblioteczeki nawet u największego optymisty, ale były jej, tylko jej, w mieszkaniu, które miała wyłącznie dla siebie.

Z samego dna pudła wyjęła szary segregator i otworzyła go. Przeczytała jeszcze raz wpiętą na samej górze umowę o pracę z Proffice Design, zabezpieczoną folią. Pod nią włożyła umowę o ubezpieczenie grupowe. Gdyby coś jej się stało, uposażyła mamę. Dwadzieścia tysięcy to nie była jakaś wielka fortuna, ale dla niej i dla mamy ta kwota stanowiła ogromną sumę. Tylko dlatego dała się namówić na grupówkę. Pięćdziesiąt złotych na dodatkowe ubezpieczenie, odliczane co miesiąc od wynagrodzenia, było jednak dla niej sporym wydatkiem. Starannie zamknęła segregator i ułożyła go na półce obok książek.

„Dałam radę” – pomyślała. W całym swoim krótkim, dwudziestopięcioletnim życiu, wszystko zawdzięczała tylko sobie i swojej pracy. Sama wybrała technikum fryzjerskie i choć szybko zdała sobie sprawę, że to

nie jej bajka, cieszyła się, że ma swoje pieniądze. Dorabiała już w szkole: czesała na wesela, farbowała sąsiadkom włosy, obcinała. Odkładała każdą złotówkę. Gdy okazało się, że ojciec ukradł jej schowane dwieście złotych, założyła konto w banku i od tamtej pory trzymała w domu tylko drobniaki.

Umiała oszczędzać. Jej koleżanki przepuszczały wszystko na ciuchy i kosmetyki, a ona wydawała pieniądze tylko na to, co konieczne, a i tak trzy razy się zastanawiała, nim cokolwiek kupiła. Nauczyła się tego od mamy, której ojciec zostawiał jakieś śmieszne kwoty, większe pieniądze tylko na święta i na imieniny. Oczywiście swoje. Wszystkie rachunki płacił sam. Ona pokornie i bez słowa wszystko zносиła. Anka pamiętała jeszcze z dzieciństwa straszne awantury, wrzaski. Pewnego dnia to się skończyło. Kobieta przestała protestować, od tej pory już nie dyskutowała, nie zaprzeczała i zawsze przepraszała. Anka wiele lat później zorientowała się, że mama po prostu nie miała wyjścia. Jeśli, według ojca, zrobiła coś nie tak, zabierał wszystkie pieniądze i zostawiał ją bez grosza. Odkąd pamiętała, była bezrobotna. Podobno jeszcze przed ślubem i niedługo potem pracowała w cukierni, ale gdy urodziła się Anka, ojciec już nie pozwolił żonie wrócić na etat. Zamknął ją w domu. Chyba pasował mu taki układ. Gdy wracał z pracy, ciepły obiad czekał na niego na stole, a niedzielna koszula wisiała uprasowana w szafie. Kochany mąż i tatuś... Anka wolała nie myśleć o tym, co jej powiedział na odchodnym.

Zaraz po technikum zaczęła staż w salonie fryzjerskim, a po nim miała nawet gwarancję zatrudnienia na kolejny rok, ale sama napisała rezygnację. Znalazła ogłoszenie o pracę na stanowisku pracownika biurowego w szkole nauki jazdy. Przepracowała u Dawida za niewielkie pieniądze trzy długie lata. W tym czasie studiowała zaocznie romanistykę w Krośnie.

„Gdyby nie ten francuski, pewnie nie przyjęliby mnie do Proffice Design” – zastanowiła się. Ze znajomości języka przepytywał ją uśmiechnięty, bardzo życzliwy Arab, chyba Amir. W trakcie rozmowy o pracę była tak zdenerwowana, że teraz nawet nie była pewna, jak miał na imię. Na początku bardzo drżał jej głos, gdy pani Barbara witała się z nią po

angielsku. Włożyła w tę aplikację ogrom pracy, przygotowała się bardzo starannie do procesu rekrutacji. Przeczytała chyba każde zdanie na firmowej stronie internetowej. Pooglądała na YouTube filmy instruktażowe dotyczące rozmowy o pracę po angielsku. Warto było zaangażować się. Nie miała pojęcia, ile kandydatek starało się o stanowisko asystentki, ale to ona wygrała.

Wiele zawdzięczała nauczycielce francuskiego w technikum. Gdyby nie pasja i program autorski pani Marty, być może Anka nie zdecydowałaby się na studiowanie romanistyki. Po obronie licencjatu napisała do niej na Messengerze, żeby pochwalić się sukcesem. Teraz też skontaktowała się z byłą nauczycielką i dała jej znać, że prawdopodobnie to właśnie dzięki dobrej znajomości francuskiego dostała świetną pracę w Rzeszowie.

Przejechała palcem po półce meblościanki. Dość gruba warstwa kurzu została jej na palcu. Poszukiwania ściereczek w kuchni nie przyniosły żadnego efektu. Miała ochotę wyskoczyć do pobliskiego sklepu po środki czystości, ale poczuła się ogromnie zmęczona. Zajrzała więc do kartonu z ubraniami. Poświęciła stary, wyświechtany podkoszulek, w którym spała w letnie upały, namoczoną tkaniną przetarła półki i wnętrza szafek. Dopiero teraz mogła ze spokojem poukładać swoje ubrania. Miała tak mało rzeczy, że rozpakowanie kartonów i posprzątanie mieszkania zajęło nie więcej niż godzinę. Starego Łuczniaka postawiła na razie na dnie szafy. Póki co nie miała pomysłu, gdzie mogłaby szyc. Stół w kuchni wydawał się zbyt mały. Nic to, zastanowi się, co zrobić, gdy będzie taka potrzeba.

Pomyślała o mamie. Na pożegnanie tylko uściślały się bez słowa. Żadna z nich nie dała rady nic powiedzieć.

Otworzyła schowek w kanapie, ale nie znalazła żadnej pościeli. Rozpakowała swój stary śpiwór i go rozłożyła. Na dziś musi wystarczyć. Jutro będzie miała dość czasu, by w okolicznych szmateksach kupić pościel.

Wyszła na mikroskopijny balkon. Z przyjemnością odetchnęła wciąż jeszcze ciepłym, majowym powietrzem. Poniżej znajomo szumiał ruch uliczny. Stała tak chwilę. Nigdzie jej się nie spieszyło, miała tyle czasu, ile chciała. I sama decydowała, co z nim robi.

Piknięcie Messengera oderwało ją od metalowej barierki. Wróciła do środka. Nie musiała sprawdzać, kto do niej napisał, była pewna, że to Ewa.

„Dojechałaś?” – Przeczytała na wyświetlaczu.

„Tak jest, mamusiu ☺”.

„No to dobranoc”.

Znała Ewę od zawsze, wychowywały się razem prawie jak siostry i zawsze świetnie się rozumiały. Anka była przekonana, że Ewa jest najlepszym człowiekiem, jakiego poznała w swoim życiu. Przyjaciółka chciała przyjechać do Anki na parapetówkę, ale dziewczyna wymigała się. Wszelkie rozrywki będą musiały poczekać, aż trochę stanie na nogi. Sama kaucja za mieszkanie wyniosła tysiąc złotych. Utrzymanie pochłonie ogromną część jej pensji, ale nie żałowała wyprowadzki. Zresztą i tak już nie może wrócić do mieszkania rodziców na Sadową.

Wyjęła z szafki czystą bieliznę i koszulę nocną. Czas na prysznic i sen. Bardzo długo stała pod strumieniem ciepłej wody. Miała wrażenie, że każda małeńka strużka zabiera ze sobą cząstkę nerwowości ostatnich dni. Zrelaksowana wyszła z zaparowanej łazienki. Gęste, wilgotne włosy szybko zmoczyły tył koszuli. Z westchnieniem ulgi wsunęła się do starego, choć czystego śpiwora. Zasnęła w trzy sekundy.

## ROZDZIAŁ 2

Open space ich biura był nieustannie wypełniony szumem rozmów, który działał Andrzejowi na nerwy, zwłaszcza dziś. Wciąż jeszcze rozmawiał z klientem o ładunku z Luksemburga, gdy zobaczył Paulinę podchodzącą do niego ze spuszczoną głową. Unikała jego wzroku, więc był pewien, że za chwilę usłyszy niezbyt przyjemnego newsa. Szybko skończył rozmowę. Nie dogadał się z facetem. Zaraz będzie musiał wrócić do przeglądania giełdy, może jeszcze znajdzie na dziś jakiś ładunek z Luksemburga do Polski?

– Co tam? – rzucił nieuważnie. Nie miał ochoty odrywać się od swojej pracy.

– Mietek Rząsa jest w Rudnej Wielkiej. Wjechał pod zbyt niski wiadukt. Ściął kabinę konia. Policja jeszcze nie przyjechała. – Dziewczyna wyrzucała z siebie informacje jak kule z katapulty, same konkrety, co też Andrzej doceniał, mimo nieprzyjemnej sytuacji. Choć Paulina pracowała tu raptem dwa miesiące, już zdążyła się nauczyć, że do niego trzeba mówić zwięźle i krótko. Pitolenia miał dość.

– Co wiezie?

– Leki z Francji.

– Ja pierdołę... – wyrwało mu się. Zamknął na chwilę oczy. Jurek na parkingu w Luksemburgu będzie musiał poczekać. Trzeba najpierw załatwić ten shit. Uszkodzona chłodnia była ważniejsza. Wybrał w telefonie numer kierowcy i już po pierwszym dzwonku usłyszał:

– Andrzej, nie zauważyłem...



– Rusz dupę i sprawdź, czy agregat na chłodni jest przełączony na diesel – przerwał kierowcy. – I sprawdź, ile masz paliwa. Nie ruszaj na razie naczepy. Nawet nie próbuj otwierać. Poczekaj na policję, musimy mieć na to glejt. Teraz najważniejsze jest przeładowanie towaru, a tłumaczyć się będziesz szefowi, nie mnie. – Rozłączył się bez pożegnania.

– Arek, Rafał – zawołał nad biurkami. – Na cito do mnie. – Przyszli szybko z nieodłącznymi telefonami. Jeden po drodze kończył jeszcze rozmowę.

– Chłopaki, kto tam z krajówki jest najsprytniejszy? – zapytał cicho Andrzej.

– Kaziu – odpowiedział Rafał, niewysoki brunet.

– Ściągnij mi go tutaj. Mamy w Rudnej chłodnię po wypadku, z lekami. Mietek Rząsa zrobił z niej pierdolony kabriolet. – Cała trójka z niedowierzaniem pokręciła głowami, a Andrzej mówił dalej. – Naczepa cała, ale chyba nie muszę tłumaczyć, co trzeba zrobić.

– Kto mu, kurwa, pozwolił jeździć na chłodni? – zapytał Arek, ale nie doczekał się odpowiedzi. Zaraz podszedł najstarszy ze spedytorów.

– Kaziu, w Rudnej mamy chłodnię z uszkodzonym ciągnikiem, trzeba załatwić drugą chłodnię i jakąś solówkę z windą i paleciakiem, żeby to przeładować. Ten kretyn wiozł leki. Jeśli czujniki pokażą za duże wahania temperatur, to jesteśmy w czarnej dupie i skończy się dużo gorzej niż afera ze spleśniałymi mandarynkami z Hiszpanii, bo wszystkie leki trzeba będzie zutylizować. Jak nie ma naszego auta, to dzwoń, do kogo chcesz. Nie mamy wiele czasu.

– Swojej chłodni nie mamy, czyli szukamy – odpowiedział Kazik.

– Paulina, dzwoń do klienta, a jak się boisz, to dawaj mi numer. Na zewnątrz jest ponad trzydzieści stopni, muszę wiedzieć, czy czujniki wytrzymają przeładunek.

– Możesz ty? Ja nie znam się na tych czujnikach, proszę. – Paulina popatrzyła na niego błagalnie. Andrzej miał wrażenie, że dziewczyna zaraz się rozpłacze.

– Dawaj telefon, czytaj potem pozycję Mietka i podaj Kaziowi. – Paulina zapisała mu szybko numer i poszła do swojego biurka. Później

zastanowi się, czy dać jej jeszcze szansę. Była nowa, miła, skrupulatna, ale czy spedycja jest na jej nerwy? Do końca okresu próbnego został niecały miesiąc i to on będzie musiał wydać opinię.

Szybko wykręcił numer i po dwóch minutach nieprzyjemna rozmowa była skończona. Przy tych upałach mają tylko pół godziny od otworzenia chłodni. Mogliby poczekać do wieczora, ale policja raczej się nie zgodzi na takie długie blokowanie drogi, a paliwa też może braknąć w agregacie. Agregat!

– Paulina! Zapytaj Mietka, ile mu zostało paliwa w agregacie! – rzucił ponad swoim monitorem. Spojrzał tylko na Kazika, nawet nie musiał zadawać pytania.

– Szukam! – Tyle usłyszał od kolegi.

– Paulina, chodź tu jeszcze – zawołał dziewczynę.

Gdy tylko podeszła, dodał:

– Jak się dodzwonisz do Mietka, pomożesz Kaziowi szukać wolnych aut. Arek też szuka. Ty sprawdź giełdę.

Andrzej myślał szybko. Sam przeładunek nie stanowił dużego problemu. Mogliby z Rudnej ściągnąć nawet kuriera dedykowanego, wystarczyłoby, żeby miał paleciaka i windę, gorzej z chłodnią. Znów zamknął oczy. „Rozwiązanie, myśl o rozwiązaniu, nie o problemie”. Zostało mu jeszcze sporo znajomych z poprzedniej firmy. Tam nie brakowało chłodni. Może mają wolne auto na Podkarpaciu? To byłby cud, ale warto spróbować.

– Cześć, Sławek – rzucił do telefonu. – Stary, mam pożar w burdelu. Potrzebuję lodówkę pod Rzeszowem na już. Powiedz, że masz? Zapłacę każde pieniądze. – Głos Andrzeja tonął w szumie rozmów open space’a. – Dobra, daj znać. – Gdy kończył rozmowę, dostał od Pauliny wiadomość na Skypie, od której całkiem się zagotował. Trzydzieści litrów! Mietek miał tylko tyle paliwa w agregacie. „To będzie długie popołudnie” – pomyślał ponuro.

Chwilę później oddzwonił kolega.

– Dawaj, Sławek – odebrał.

– Andrzej, chyba jesteś w czepku urodzony. – Usłyszał. – W Strzyżowie mamy auto, ale tylko do jutra. Ściągamy go na bazę na przegład. Kierowcy zostały jeszcze trzy godziny pracy.

– Sławek! Dostajesz od nas najlepsze wino. Wysyłam ci adres SMS-em. Daj mi tylko jego blachy. Zlecenie już się robi.

– OK. Pisz. Wanda, Natalia, Daniel, zero, zero, trzysta trzy, Wanda, Natalia, Daniel, dziewięćdziesiąt, osiemset dwa. – Andrzej szybko notował numery auta i naczepy: WND 00303, WND 90802. – Tylko spróbujcie nie zapłacić! – roześmiał się kolega.

Andrzejowi ten dowcip nie bardzo się podobał. Znał sporo firm transportowych, którym klienci byli dłużni setki tysięcy złotych, ale wiedział, że zlecenie zostanie opłacone w terminie, inaczej by nie dzwonił do kumpla.

– Osobiście dopilnuję tego. Dzięki za uratowanie dupy. Dzwoni, jakby co, odwdzięczę się.

Odwrocił się triumfalnie na swoim obrotowym krześle.

– Mamy łódówkę! – krzyknął do Pauliny, Kazia i Arka, po czym wydał szczegółowe dyspozycje. – Kaziu, obdzwoni kurierów z Rudnej. Za pół godziny mamy mieć windę i paleciaka na miejscu. Niech zabierze nowe plomby. Paulina, potrzebuję dokładny adres rozładunku. Wyślij SMS-em. Ja ci zaraz podrzucę dane firmy i blachy, zrobisz zlecenie. – Było niemalże słychać, jak wielki kamień spada jej z serca. – Tu masz numer do Sławka z Export Transu, na zleceniu wpisz kwotę, jaką ci poda.

Andrzej zadzwonił jeszcze do firmowego specja od ubezpieczeń. Czterdzieści pięć minut minęło, odkąd Paulina uraczyła go wiadomością dnia. Wrócił do przeglądania giełdy. Teraz mógł znów zająć się ładunkiem dla kierowcy w Luksemburgu. Za dwie godziny już nie będzie czego szukać, bo po siedemnastej wszyscy idą do domu. Teoretycznie kończył pracę o szesnastej, ale powoli normą dla niego stawało się przesiadywanie w biurze przynajmniej do piątej. Dłuższe zostawanie miało się z celem, gdyż o tej porze raczej nic nowego nie pojawi się na giełdzie.

Dwie godziny później, zły na siebie, kończył rozmowę z Jurkiem, który już drugi dzień tkwił za granicą bez ładunku powrotnego. Nie mógł przecież wrócić do kraju na pusto. Tego w swojej pracy Andrzej serdecznie nienawidził. Zamiast wysyłać zlecenie, musiał powiedzieć gościowi, kwitującemu na jakiejś parkingowej beton-plaży, tysiące kilometrów od

domu, że musi jeszcze jeden dzień poczekać. Dobrze chociaż, że leki jechały już do celu na naczepie innego auta.

Wyszedł z biura ostatni. Zamknął kodowane drzwi i odetchnął głęboko jeszcze gorącym, letnim powietrzem. Na szczęście dziś przyjechał samochodem, więc nie będzie musiał czekać na autobus.

Po powrocie do domu nie tracił czasu. Zjadł szybko obiad i przebrał się w swój ulubiony strój do biegania. Spieszyło mu się, by jak najszybciej wyjść z domu. Chciał jakoś oderwać myśli od pracy. Tak się to ładnie nazywa w ofertach: „umiejętność podejmowania szybkich i trafnych decyzji”, nikt przecież nie napisze: „gaszenie pożarów w burdelu”. Spedytorzy różnie radzili sobie ze stresem. Kaziu i inni palili szlugi, niejeden za dużo pił. Andrzej nienawidził smrodu dymu papierosowego, nie pił od dawna, a gdzieś trzeba było spuścić parę z gwizdka negatywnych emocji. Pogratulował sobie w duchu, że zaczął biegać. Może wypalenie zawodowe nie dopadnie go tak szybko. Mógł wrócić do programowania, z czego ojciec byłby pewnie bardzo zadowolony, ale nie chciał.

OK, na dzisiaj wystarczy. Zadowolony, wrócił do domu.